

Jarosław Jakubowski: Do czego jest nam dziś potrzebny Bobkowski?

„Szkice piórkiem” pełne są obrazków, z których możemy wyczytać pragnienie wyzwolenia się nie tylko od grozy historii i totalizmów, ale przede wszystkim pragnienie znalezienia miejsca na ziemi, gdzie człowiek byłby tylko i aż człowiekiem. Czującą i myślącą „bryłą mięsa”, ni mniej, ni więcej – pisze Jarosław Jakubowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bobkowski. Szkice z wolności”.

Moją przygodę z Andrzejem Bobkowskim zacząłem, nie inaczej, od jego najsłynniejszego dzieła – „Szkiców piórkiem”. Była to lektura gorączkowa, jakby to, co napisał Querido Bob, czekało na odkrycie, jak rysunki naskalne w jaskini. Chyba po raz pierwszy przekonałem się, że polski pisarz może być do tego stopnia wolny - od powinności wobec Narodu, Historii i innych Spraw, wolny tak po prostu. Oczywiście nie znaczy to, że Bobkowski pozostawał obojętny na wielkie zagadnienia, pisał o nich niemało, pisał ostro i przenikliwie, ale w swoim opus magnum, którym są „Szkice piórkiem” wielokrotnie pozwalał sobie na wagary od powinności. I była to decyzja, która zaowocowała jednymi z najwspanialszych w naszej literaturze apologii czystej egzystencji. Obfitują w nie zwłaszcza początkowe partie dziennika, pisanego od 20 maja 1940 roku do 25 sierpnia 1944 roku. Autor „Szkiców piórkiem” był wtedy młodym, dopiero zaczynającym literacką karierę człowiekiem; gdy pisał pierwsze słowa dziennika, miał 27 lat. Te „orchidee w sosie

„pomidorowym”, jak pół żartem nazywał „Szkice piórkiem”, można również czytać jako dokument młodzieńczego zachwytu życiem, eksplozji twórczej i myślowej.

Przemierzając na rowerach Francję z okupowanego Paryża na południe, Bobkowski i jego towarzysz Tadzio, prosty szofer z Warszawy, przypominają nieco Don Kichota i Sancho Pansę, tyle że kobyłę rycerza zastąpiła „doskonała szosówka za 715 franków”, a osiołka giermka „półwyścigówka za 630 franków”. Jak to się stało, że do dzisiaj nikt nie zekranizował tej niebywałej rajzy? Od dawna twierdzą, że to gotowy scenariusz niesamowitego filmu fabularnego. Filmu drogi, w którym kolejne przygody mieszają się z zadumą nad upadkiem Francji, Europy („Europalager”, jak pisał Bobkowski) i w ogóle zachodniej cywilizacji.

Bohaterowie całymi dniami pedałużą, to pokonując mozolne podjazdy, to zasuważąc na łeb na szyję ze wzniesień, a wieczorami zatrzymują się w przeróżnych wioskach i miasteczkach, gdzie można było jeszcze odnaleźć „słodką Francję”. Bobkowski właściwie od razu wydobywa z tej nowej sytuacji to, co najlepsze. Po prostu oddaje się we władzę zmysłów. „Było coś upajającego w tej jeździe. W pewnej chwili najwyraźniej poczułem, że wszystko przestało mnie obchodzić. Teraz, kiedy to piszę, czuję, że pękło coś we mnie. Może nastąpiło zerwanie z przeszłością. Nareszcie. Jestem wolny w tym zamieszaniu. Może nawet zerwałem z samym sobą. Wspaniale. Rozpiera mnie. Żal? Za czym, do diabła? Za tamtym życiem? To był koszmar, nieustanne duszenie się. Koszmar lat gimnazjalnych, koszmar tego życia, do którego przykrawałem się, nie mogąc się nigdy spotkać z samym sobą. Rozmawiałem z sobą poprzez innych. I to poprzez kogo? Poprzez co? Cholera!”.

*Dehumanizacja kultury
stworzyła pole dla totalizmu.
Tylko człowiek nie jest fikcją,
wszystko inne jest fikcją –
podkreśla Bobkowski, dlatego
przyjmuje postawę skrajnie
antyintelektualną i
indywidualistyczną*

Śledzimy kolejne
etapy tego
osobliwego Tour de
France, Bobkowski
sumiennie zapisuje
w kajecie to, co
widzi, słyszy, czuje,
wącha, smakuje;
zapisuje też swoje
przemyslenia, które
są gorzkim
kontrapunktem dla

piękna kraju, przez który wędruje. Przecież Francja, ta mitologizowana przez wielu Polaków dumna Marianna, tak brzydko poddała się barbarzyńcom. Ale we francuskim interiorze pisarz znajduje pewien ratunek, koncentrując się na elementarnej egzystencji: „Wojna? Tu wiedzą o niej jedynie z opowiadań przyjezdnych. Słońce, wspaniałe i soczyste, jedwabiste wieczory i noce, jak sierść czarnego kota. Od samego rana woda, rozleniwienie przeciąganych pływaniem członków. Bezgranicznie dobrze. Dogoniłem tu dawną Francję. I teraz wypiję ją wolno, wolniutko, jak kieliszek dobrego wina. A potem? Mój Boże... „Jutro”, „potem”, „w przyszłości” to są słowa z tamtej epoki. Przepadła, zginęła i niech jej historia lekką będzie. Gdyby tych słów nie potrafiło się odrzucić, to „teraz” straciłoby cały sens, cały urok. Chcę żyć tylko „teraz”. Od pierwszego dnia tutaj poczułem najdokładniej, że los pozwolił mi wyciągnąć jakąś olbrzymią wygraną i że trzeba cenić każdą minutę. Magazynuję je. Pełne, okrągłe, pachnące minuty i godziny”. Dwa ostatnie, krótkie zdania to najprawdopodobniej jedne z najpiękniejszych fraz, jakie napisano o życiu. Prof. Maciej Urbanowski, nazywający Bobkowskiego „podróżnikiem szczęśliwym”, w książce

„Szczęście pod wulkanem” trafnie zauważa, że zdiagnozowana przez pisarza klęska Francji i Europy wzięła się jego zdaniem z kapitulacji zachodniej kultury, którą cechuje „tchórzliwa chęć odwrotu od rzeczywistości”. Od rzeczywistości, a więc od człowieka, który stopniowo z podmiotu stawał się środkiem wykorzystywanym przez totalne ideologie do realizacji celu – absolutnej kontroli mas, zaś to co duchowe, sprowadzono do intelektualnej abstrakcji. Dehumanizacja kultury stworzyła pole dla totalizmu. Tylko człowiek nie jest fikcją, wszystko inne jest fikcją – podkreśla Bobkowski, dlatego przyjmuje postawę skrajnie antyintelektualną i indywidualistyczną. Rower w jego ujęciu staje się narzędziem oporu wobec zniewolenia. Bogactwo doznań Południa – odpowiedzią na barbarzyńską Północ. Zanurzmy się, wraz z Bobkowskim, w kolejny opis: „Słońce wyjada ze mnie wszystkie kolory, wybiela wewnątrz i czerni tylko skórę. Jestem bryłą mięsa. Wchodzę do wody i jestem rybą. Chłód wody podziałął na mnie jak przejechanie ręką po całej klawiaturze fortepianu. Zapełniam się tonami i półtonami, barwię się. Wyśnił się sen o morzach południowych Londona i Maughama. Nurkuję. Woda jest zielonkawa. Odwracam się na wznak i jadę wolno w górę, jak cichy lift. Na którymś piętrze mijam zawieszoną w szmaragdzie różową meduzę. A potem znowu słońce”.

Siłę metafory ma scena, w której pisarz biegnie brzegiem morza, rozkoszując się swoją „dziką radością”, gdy nagle napotyka zagrzebany w piasku wrak małego holownika. „Na resztkach stalowych lin wiatr wygwizdywał jeszcze przeraźliwiej, buczał w kominie i sypiąc piaskiem, grzebał stalowego trupa. Było coś dziwnego w całym otoczeniu, jakaś trupia pustka i martwota, z której wiatr naśmiewał się chichocząc w każdej szparze, telepiąc kawałkami blachy i tańcząc wokoło na lejkach

z piasku”. Bobkowski na chwilę przysiada na dziobie wraku, rozmyśla o „Wyspie skarbów”, po czym – spłoszony jakimś oderwanym kawałkiem blachy, biegnie dalej, ucieka od „trupa”. Trupa starego świata.

„Szkice piórkiem” pełne są takich obrazków, z których możemy wyczytać pragnienie wyzwolenia się nie tylko od grozy historii i totalizmów, ale przede wszystkim pragnienie znalezienia miejsca na ziemi, gdzie człowiek byłby tylko i aż człowiekiem. Czującą i myślącą „bryłą mięsa”, ni mniej, ni więcej. „Znowu nic nie myślałem – jadłem winogrona. Czułem tylko, jak intensywność życia wzmogła się we mnie do ostateczności. Czułem swoją młodość, przeżyłem ją w tych kilku chwilach tak, że krew powinna była mi trysnąć ze wszystkich por i pomieszać się z sokiem winogron. Złapałem życie, na moment, ale wyraźnie. To było wspaniałe. W nocy ustał wiatr”.

Czyż Bobkowski – diarysta i szczegółarz wyczulony na najdrobniejsze objawy życia, nie jest nade wszystko poetą? Całe akapity „Szkiców piórkiem” są nie tylko nasycone detalami, ale też posiadają własną melodię i rytm, rytm bicia serca i oddechu. Wydaje się też, przynajmniej w niektórych miejscach dziennika, że Bobkowski jest medium, „ręką piszącą”, że zdaje nam relację ze świata takiego, jaki mógłby być albo jaki był, kiedy ludzkość była jeszcze młoda i pełna nadziei. Całkiem jak we śnie Hansa Castorpa w „Czarodziejskiej górze”, w którym ów młodzieniec ujrzał pięknych ludzi oddających się najprostszym przyjemnościom i żyjących w absolutnej harmonii ze sobą i ze światem. Pamiętamy też, że sen Castorpa przeobraził się w koszmarny obraz starych wiedźm rozszarpujących niemowlę. U Bobkowskiego piękno i radość też są rodzajem snu – fakt, że na jawie, ale pisarz ma świadomość, że znalazł się na chwilę w swego rodzaju

enklawie oblanej zewsząd przez totalną wojnę. Przyjmuje to i broni tej enklawy jak siebie samego. „Czuję, że gdybym się bał, runąłbym sam przed sobą. I dlatego NIE CHCĘ się bać” – pisze w pewnym momencie.

Pisarz był zresztą dobrze obeznany w literaturze, czytał też w trakcie pisania dziennika, podczas rowerowej podróży i stacjonarnie. Niósł ze sobą i w sobie polski bagaż. Słowackiego lubi, ale jak pisze, „do okresu mistycznego jest mi bliski i zrozumiały. Potem cześć! Nie mogę, nie przeżykam, zwracam”. Mickiewicza raczej nie znosi. „

Ta polska skłonność do popadania w mistycyzm jest aż trochę przerażająca. Jesteśmy często okazami, u których między fizyką a metafizyką nie ma w ogóle granicy. Rozciągają się tam natomiast jakieś „Dzikie Pola”, po których bezkarnie buszują różni Towiańscy z wichrem bzdury w zawody. Ale cóż innego może pozostać narodowi wiecznie biednemu, wiecznie niszczoneму i tłamszonemu, a mającemu równocześnie bardzo wysokie wyobrażenie o sobie, kontuszowe i wojewodowo zadyszane. (...) Nasza mania cierpiętnictwa nieoświeconego, wieczna gotowość do umierania czy trzeba, czy nie potrzeba, do każdego poświęcenia doprowadziły do tego, że Francuz albo Anglik jest głęboko przekonany, iż nam łatwiej jest rozstać się z życiem niż osobnikowi jakiegokolwiek innej narodowości”. Irracjonalności, nawet jeśli przemawia za nią wyższość moralna, pisarz przeciwstawia racjonalizm. „Nie żadne „Kupą Mości Panowie”. Trzeba sięść spokojnie, zdjąć marynarkę, rozwiązać krawat i wpatrzeć się w szachownicę. I powtarzać sobie „Jestem Polakiem” bez piosenki o ułanie i bez mętnej

metafizyki. Jesteśmy zbyt wiele warci, zbyt zdolni i lotni, narażeni na zbyt wiele zasadzek, żeby pozwalać sobie na harce po różnych „Dzikich Polach”.

Na południu Francji Bobkowski znalazł antidotum na „mętną metafizykę” w postaci estetyki prostego życia „tu i teraz”. „Piękno nie porusza tu żadnych wspomnień, nie kojarzy się z niczym – ani z muzyką, ani z poezją. (...) Nie czuje się potrzeby wykołatania z siebie żadnych uczuć czy wzruszeń, tęsknoty lub marzeń. Tu za jednym zamachem można się oduczyć tej „słowiańskiej tęskliwości”, niebieskookiej, łanowo-równinno-zbożowej”. Pisze dalej w upojeniu, że „tutaj piękno jest. (...) Może właśnie ta uchwytność nie powoduje ani chęci, ani potrzeby rozpuszczania myśli, „przeciągu w duszy”. Skowronki? Tu się je strzela i zjada pieczone. Nic innego nie przychodzi mi na myśl o skowronku. Żadne jakieś „boży kміć”, żadne tui, tui, a frr, a frr”.

Polskość Bobkowskiego jest polsnością kosmopolityczną, na wskroś łacińską i katolicką. Nazywał siebie „katolikiem z krwi i kości”, dziękczyniącym Bogu nad szklanką piwa czy rumu z kilkoma kostkami cukru

Oczywiście pisze to Polak ledwie rok po klęsce wrześniowej, która była dla niego czymś więcej niż klęską militarną. Momentalnie rozpadł się świat, w którym Bobkowski uczył się i dorastał. Trauma jest dotkliwa, ale

jednocześnie rodzi się w nim pisarz, świadomy i dojrzały. Pisarz zdolny

do stawiania diagnoz aktualnych nie tylko w czasie swego powstawania, ale również – nie waham się tego napisać – również dziś, kiedy (który to już raz?) musimy na nowo poszukać swojego miejsca w Europie, z naszą historią, religią, tradycją, ale też i naszymi „modernizatorami”. Nie bez powodu Bobkowski ceni sobie Prusa, jednego z pisarzy polskich, do którego – jak pisze – „nie ma o nic pretensji”. „Olśniewa szerokością spojrzenia, odczuciem i zrozumieniem tego diabelskiego problemu, jakim jest „polski charakter”. Innym polskim twórcą, którego hołubi, jest Chopin, którego – wbrew słynnej kwestii o „armatach ukrytych w kwiatach” – ma przede wszystkim za artystę trzeźwo myślącego, który gdy zrozumiał, że jego styl stał się stylem epoki, wykorzystał to do cna, sięgając geniuszu. Polskość Bobkowskiego jest polskością kosmopolityczną, na wskroś łacińską i katolicką. Pisarz nazywał siebie „katolikiem z krwi i kości”, dziękczyniącym Bogu nad szklanką piwa czy rumu z kilkoma kostkami cukru.

W „Szkicach piórkiem” Jerzy Giedroyc dostrzegł podobieństwo do przygód dzielnego wojaka Szwejka, tyle że Bobkowski ani na moment nie przywdziewa żołnierskiego munduru, pozostając – jak pisze Urbanowski – „ostentacyjnym cywilem”, pragnie żyć tym usilniej, im łatwiej i „brzydziej” Europa się poddaje. *Primum vivere, deinde philosophari* – „najpierw żyć, potem filozofować” to klasyczna sentencja, która dobrze ilustruje nie tylko taktykę pisarską, ale i całą postawę Bobkowskiego.

Spoglądając z perspektywy 60 lat, jakie upłynęły od śmierci pisarza, na jego niedługie, bo ledwie 48-letnie życie, dostrzegamy że jest ono samo w sobie opowieścią o człowieku, który nigdy nie zawarł zawieszenia broni z rzeczywistością i nawet w obliczu katastrofy dziejowej – wojny i

postępującej po niej sowietyzacji Europy – nie stracił wiary w człowieka i nie przestał kochać życia. O swoje walczył heroicznie do samego końca, który nastąpił 26 czerwca 1961 roku w dalekiej Gwatemali. Dalekiej, ale dziś, poprzez postać „chuligana wolności” – jakoś przecież bliskiej.

Wracam do Bobkowskiego raz po raz, sięgając po jego dzienniki, listy, opowiadania czy – wydany niedawno w opracowaniu i ze wstępem Krzysztofa Ćwiklińskiego – dramat „Czarny piasek”. Bobkowski jest dla mnie pisarzem wciąż żywym, a znaczy to tyle, co inspirującym. W 2019 roku napisałem długi wiersz zatytułowany po prostu „Bobkowski”, w którym starałem się zawrzeć moje impresje związane z autorem „Szkićów piórkiem”. Zamieszczam go tu jako coś w rodzaju post scriptum, bo mam nadzieję, że Czytelnicy również znajdą w nim swoje odczucia. Wiersz miał swój pierwodruk w dwumiesięczniku literackim „Topos”, a później posłużył za element mojego słuchowiska „Guatemala Hobby Shop” zrealizowanego w Teatrze Polskiego Radia przez Andrzeja Mastalerza, który zagrał w nim również Querido Boba. À propos – zgłaszam tego aktora do roli głównej w filmie fabularnym o Bobkowskim.

Jarosław Jakubowski

Fot. Polona.pl, fotograf nieznany

BOBKOWSKI

„Podpisać zawieszenie broni z otoczeniem? Nie – buntować się swobodniej”.

A.B.

Przeskoczyć siebie. Z tego miejsca,
pod chropowatym murem, skąd właśnie usuwa się
słońce. Jeszcze grzeje w nogi, ale głowa
już w cieniu. Zewsząd śpiew ptaków, radia,
mruczenie motorów, powarkiwanie rozmów,
muzyka zwykłego popołudnia, niedzieli
tak lekkiej jak obłok, który zaraz przetnie
cienka biała linia. Przeskoczyć siebie,
pożegnać bez żalu, wsiąść na pokład i oderwać się
od tego co umarło, ale nie chce odejść.
Tamten brzeg, domy, drzewa, ludzie,
wszystko staje się pismem,
coraz mniej czytelnym, aż wreszcie
nie widzisz już nic i czujesz skurcz żołądka.

To stary kontynent, ściskany w dłoni kamyk,
jeszcze chwilę go potrzymam, ale zaraz rzucę w morze.
Twardy bezkształtny kamyk, od niego rozpocznę budowanie.

Gdy byłem chłopcem, rysowałem mapy wymyślonych lądów,
samowolnie wytyczałem granice, kazałem przytulać się krajom
z przeciwnych półkul, moja ręka pewnie kreśliła nowe światy.

Stawiałem kropkę: tu będzie stolica, niebieską kredką
czyliem wody, a kiedy miałem kaprys,
przesuwałem graniczne rzeki i maleńkie państewka
stawały się imperiami. Wszystko to było dobre i sprawiedliwe,
bo brało się z serca pochmurnego chłopca, zapatrzonego
w punkt horyzontu znany tylko jemu. Tak mijały wieczory
na mostku starego domu, który był okrętem.

Tobie zapisuję Europę, cieniu który schylasz się
nad blizną kilwateru, ja muszę dalej, jak najdalej,
a przecież kocham ją jak kobietę,
jak ser i wino, i chleb. I jak turkot kół
na bruku, asfalcie, ostrokrawędzistym żwirze.

Jak rozmowę z prostym człowiekiem
po całym dniu milczenia z sobą.

Kocham go jak godziny, gdy nie należałem
do nikogo i sam sobie udzielałem ślubu
z ziemią, wodą i powietrzem.

I jak noce pod gwiazdami, i jak pływanie
w południowym morzu, gdy byłem bratem
delfina. Kocham go jak owoce morza
i owoce ziemi, niebo owocujące soczystą
kulą słońca i cierpką kulą księżyca.

Kocham go jak się kocha wakacje
po udręce pracy i jak się kocha pasmo gór
po monotonnej równinie, i jak długi zjazd
po jeszcze dłuższej wspinaczce, i jak
nasylenie po męce głodu i pragnienia.

Lata, godziny, sekundy w niej spędzone
są spichlerzem pełnym złotego ziarna.

A jednak długi cień kładzie się między nami.

Tobie zapisuję Europę. Z każdą chwilą
bardziej wolny. Z każdą chwilą, która
oddala mnie od niej.

Już zniknąłem z oczu ludziom na nabrzeżu,
kamyczek plusnął o fale, czuję na twarzy słony dotyk
wiatru. Jeszcze tu postoję, pozwolę sobie
na nieszkodliwą melancholię, ale za chwilę
strząsnę ją z siebie, oddam się słońcu
i albatrosowi wiszącemu w przestworzach.
Moje ramiona zbrązowieją na kształt posągu
z dawnej ery, kiedy ludzie kroczyli śmiało,
ufając Bogu, rozumowi i krzepie.

Jak dobrze powiedzieć „żegnaj” wczorajszemu życiu.
Jestem albatrosem, latawcem, Ikarem,
nie wiem co to lęk o przyszłość, puszczam
żyłkę, unoszę się, szczęśliwy jak dziecko
w zdziczałym ogrodzie, gdzie może oddawać się
obserwacji mrówek, ślimaków i dżdżownic,
łapać w słoik trzmielę z kielichów malw
i wyrzucać je wysoko, w nieznane.

Opuściłem Śródziemie przez ucho igielne Gibraltaru,
Atlantyk jest mi teraz domem.
Błyszczący jak talerz pełen pokarmu.
Uśmiecha się cała przestrzeń.
Obfitość powietrza jakby się biegło w dół
wzgórza albo na huśtawce wzbijało w niebo.

Moja dusza skuliła się gdzieś w podbrzuszu
i drży. Usta spękane od soli bezgłośnie powtarzają:
„latająca ryba”.

Boga potrzebuje się przecież tak samo,
jak tlenu. Więc oddychać, pisać, pisać tak,
jak się oddycha, żyć. Primum vivere, Europo.
Wyjechałem, żeby ocalić najlepsze wspomnienia
o tobie, stara zepsuta damo, uniosłem za ocean
uśmiech twojej młodości ukryty w skalistych
zatokach Grecji i twoją powagę północnych katedr.
Wciąż ciebie kocham i tęsknię, wierny kilku prostym
prawdom zdeptanym przez zidiociały pochód.
Idą nad krawędź przepaści i skaczą,
a swoje spadanie nazywają wolnością.
Nieliczni słyszeli mój głos, ale ja
nie nadaję się na proroka.
Lubię golonkę, whisky, zimne piwo
i ból wszystkich mięśni pod wieczór.
Życie to najlepsze, co mi się przytrafiło.
A ty nie żyjesz, ty udajesz życie na scenie
ulepionej z gazet, plotek i pogardy.

Nie wrócę. Dobrze mi tu, choć żyję skromnie.
„Gwatemala” brzmi jak zaklęcie z dzieciństwa,
ale jest moim portem. Tutaj zostanę.
Wreszcie mieszkam w kraju, który sam
wymyśliłem. Narysowałem dom – i stanął dom.
Narysowałem samolot – i samolot wzleciał
ku uciechu chłopców.

Błogosławione niech będą dzieła moich rąk
i wieczory, gdy siadam do pisania,
a zmęczenie skleja mi powieki.
W tropikach nie znalazłem smutku,
tylko model do samodzielnego składania.
Nie wiem, co zbuduję, ale chcę, żeby było piękne
i nie niosło krzywdy.

Lubię na tarasie, gdy gaśnie dzień,
gładzić łeb mojego psa i patrzeć
w jego mądre ślepia. Widzę w nich,
jak wszystko się układa. Układa się
nam, prawda, moja biedna, dobra żono?
Potęgi układają się przeciw malutkim.
Do snu układa się stworzenie.

Noc, gęsta i parna, okrywa nas na krótko.
W snach czasem przechadzam się Ulicą
Umarłych, wołam ich imiona, ale odwracają
twarze i znikają w tłumie.

Budzę się wdzięczny za jeszcze jeden dzień.
Wszystko jest proste, kiedy się wierzy słowu i ciału.
Nie jesteśmy jednymi z wielu, którzy przed nami
zginęli w piaskach pustyni,
z miastami o złotych wieżach i bogami
o oczach dzikich zwierząt.
Przyszliśmy nie po to, by poddać nasze osiedla,
kobiety i stada rwącemu potokowi barbarzyńców.

Nasze osiedla wznieśliśmy na kościach przodków,
nasze kobiety poślubiliśmy przed ołtarzami Boga,
który umarł za nas.

Jesteśmy tu po to, aby pomnażać nasze stada
i pędzić je na nieznane pastwiska.

Nocami schodzimy się do ognia,
gotowi na przyjęcie szturm partyzantów kłamstwa.
Dzwony naszych kościołów mają wielkie,
czułe serca.

Więc zostanę pod wulkanem, konsul
lolołowcowego kraju, który nie ma już kresu
i pośród dżungli rozlewa się jak Wisła wiosną,
i hojnie rzuca świętojańskie robaczki
w tropikalną noc. Jego jeziora – lusterka
puszczają do mnie zajączki, kiedy w hamaku
oddają się sjeście i pieśni cykad.
Jego jeziora kładą mi na czole chłodną dłoń,
chłodne centymy kładą na powiekach.

Czy jesteś tak odważny, żeby stawić czoła
najeźdźcy, kiedy z uprzejmym uśmiechem
przedstawiciela handlowego powie, że przyszedł
zająć twoje miejsce? Kiedy z uprzejmym uśmiechem
seryjnego mordercy wyciągnie nóż?
Kiedy z uprzejmym uśmiechem profesora
uniwersytetu przystawi ci go do gardła?

Czy jesteś tak odważny, żeby przeskoczyć siebie,
tę czarną dziurę wypełnioną przerażeniem mężczyzny
i bezczelnością chłopca?

Wyrok zapadnie w sterylnym gabinecie
urządzonym na biało. Poczujesz mdły zapach lekarstw
i równie mdłą pewność, że żadne z nich
już ci nie pomoże.

A jednak bierzesz porządny rozbieg
i skaczesz.

Koronowo, w czerwcu 2019 roku